

Jacek Wróbel

Cuda i Dziwy Mistrza Haxerlina



Jacek Wróbel, "Cuda i Dziwy Mistrza Haxerlina" - opowiadanie

MAT

Poniższe opowiadanie to pierwszy tekst Jacka Wróbla, w którym pojawiła się postać Mistrza Haxerlina. Powstało kilka lat temu i nie jest integralną częścią książki o tej samej nazwie, jednak dość dobrze oddaje realia biznesu, jakim para się wspomniany bohater.

Cuda i Dziwy Mistrza Haxerlina

Gospoda „Cztery złote pokoje” była słynna na całą okolicę... głównie z tego, że swą nazwą po trzykroć wprowadzała w błąd potencjalnych klientów. Oferowała gościnę jedynie w dwóch pomieszczeniach, a wśród ciemnoszarej mozaiki kolorów próżno było szukać złota. Wiele słów cisnęło się na usta przy próbach opisanie ich wystroju, ale najczęściej powtarzające się to „chlew”, „grota” i „ciemnica”. Przytaczano też całą gamę mniej cenzuralnych określeń, na dźwięk których niejedna dziewczka okrywała się wstydliwym pąsem. Tylko duża dawka wyrozumiałości pozwalała w ogóle zaklasyfikować gospodę do szczytnej kategorii zajazdów. Ale że karczma była znana, to właśnie przed nią rozbił swój kram Mistrz Haxerlin.

– Do mnie, ludzie, do mnie! Cuda i Dziwy przybyły do Möhren! – nawoływał, zza straganu, na którym dopiero co ulokował swoje skarby. Reszta osobliwości zalegała na pobliskim wozie, zajmując każdy dostępny kawałek przestrzeni.

Mistrz Haxerlin był niskim mężczyzną. Tak mógłby stwierdzić każdy, kto przeoczył fakt, że kiedy zachwala towar, wchodzi na drewniany podest, zyskując tym sposobem kilkanaście centymetrów. Bardziej spostrzegawczy zgodnie uznawali, że był bardzo niskim mężczyzną. Głowa, pozbawiona nawet odrobinki owłosienia, lśniła w pełnym słońcu niczym wypolerowana przyłbica. Łysina równie dobrze mogła być efektem ubocznym intensywnej pracy umysłu, jak i następstwem choroby skóry – Mistrz Haxerlin wiedział, jak było naprawdę, ale nie wyprowadzał z błędu nikogo, kto chciał przypisywać jego zerową fryzurę nadzwyczajnym walorom intelektu. Purpurowe szaty zachwycaly symbolami księżycy i klepsydry, wyszytymi srebrną nicią na tunice oraz fantazyjnymi kształtami dziwacznych spirali, jakie zdobiły zakończenia obszernych rękawów. Przywodziły na myśl odzienie czarodzieja, dlatego też Mistrz Haxerlin omijał szerokim łukiem większe miasta, by nie narazić się na krzywdzące miano hochsztaplera lub łgarza, jakim zwykli określać go prawdziwi adepci arkanów magii. Wolał ustronne wsie i miasteczka takie jak Möhren, gdzie istniała bardzo niska szansa, że ktoś zarzuci mu oszustwo.

– Zakosztujcie potęgi niezwykłości! Ochronne talizmany, relikwie bohaterów, eliksiry młodości, magiczny oręż, aromatyczne przyprawy! – Kupiec jednym tchem wyrecytował asortyment, kładąc największy nacisk na ostatni, bo wychodził z założenia, że pieprz i sól nadadzą reszcie pozorów autentyczności. – Cuda i Dziwy Mistrza Haxerlina specjalnie dla was, najmilsi!

Przed straganem zgromadziła się całkiem spora grupka gapiów. Kilku mężczyzn szybko odeszło, pomrukując pod nosem, bo opacznie zrozumieli drugi człon nazwy i srogo się rozzaczarowali. Ich miejsca długo nie pozostały puste – mieszkańcy Möhren byli łasi na wszelkiego rodzaju atrakcje, począwszy od pożaru w obejściu sąsiada a skończywszy na publicznej egzekucji. Wizyta handlarza egzotycznymi towarami plasowała się gdzieś pośrodku.

– Panie kupiec! – odezwała się jedna z kobiet, przepychając się przez gęstniejący tłum. – Jakiż to eliksir miłości macie tam w kuferkach?

Mistrzowi Haxerlinowi wystarczył rzut oka na klientkę, by domyślić się, że jedynym skutecznym środkiem, umożliwiającym usidlenie mężczyzny, byłyby w tym przypadku wnyki na niedźwiedzia czy stalowe kajdany. Albo potężna porcja alkoholu, dawkowana oblubieńcowi regularnie i nad wyraz

szczodrze. Najlepiej w godzinach nocnych, by światło dnia, padające na twarz niewiasty, nie osłabiło mocy specyfiku.

- A jakże, dobra ko... - zawahał się, gdy klientka podeszła bliżej i ukazała w pełnej krasie, ale w końcu chęć zysku wzięła górę - ...kobietko. Mam napój specjalnie na taką okazję! Rozpali zmysły twego oblubieńca do czerwoności i zmieni go w niezrównanego kochanka, gotowego do miłosnych uniesień! - powiedział, po czym sięgnął do którejś z niezliczonych sakw zalegających na tyle wozu. - Proszę, oto i jest! - Triumfalnie uniósł w górę butelkę, by każdy mógł dostrzec na szkle chaotyczne wzory które wyrzył kilka dni temu. Potężnie wysilił wyobraźnię, by zakrzywione linie, heksagramy i pętle różnej wielkości układały się w coś, co przynajmniej od biedy można było określić „sekretnymi znakami”.

Tłum wydał z siebie szept aprobaty. Ludzie z uznaniem kiwali głowami, doceniając sztukę, z jakim naniesiono mistyczne symbole. Mistrz Haxerlin uśmiechnął się pogodnie; opłaciło się zainwestować kilka monet w „Przewodnik po Sztuce Współczesnej Insirii”.

- Tylko trzy srebrniki, by opleść wybranka pnączem namiętności!

- Jeszcze mi pan kupiec powie - kobieta odliczyła monety i zabrała butelkę, ciesząc się z interesu życia - ile kropel mam łać, by te pnącza dobrze trzymały!

Mistrz Haxerlin pogładził się po podbródku. Niezadowoleni klienci nie przysparzali mu renomy, więc dla pewności sięgnął po drugą flaszkę.

- Pierwszy chętny, gotowy zakosztować Cudów i Dziwów, zostanie wynagrodzony darmowym egzemplarzem! - krzyknął donośnie, potrząsając okazałym brzuszyskiem. Księżyc na purpurowej szacie uwydatnił się. - Niech obiekt pani uczuć - handlarz wzdrygnął się w duchu na myśl o losie nieszczęśnika - wypije całą zawartość naczynia, a po pół godzinie przyjmie kolejną dawkę napoju miłości.

- Panie kupiec! - Niewiasta odkorkowała butelczynę i powąchała magiczny napój. - Toć to czarodziejstwo cuchnie jak gorzała!

- Powiem więcej! - uzupełnił prędko Mistrz Haxerlin. - Nawet tak samo smakuje! Mężczyzna sam się zniewoli kajdanami uczucia, pijąc znany sobie trunek!

Dziesięć minut później pozbył się ostatniej flaszki, bo zachęta podziałała nie tylko na spragnionych miłości, ale na wszystkich spragnionych czegośkolwiek.

- Co żeś tam napchoł? - Przygarbiony chłop o twarzy tylko trochę mniej brudnej od odzienia przyglądał się ciekawsko płóciennemu workowi z dość wiernie oddanym konturem świniaka. Forma, w jakiej zadał pytanie, sugerowała, że zwroty grzecznościowe są mu obce podobnie jak higiena. Sprzedawca niezwykłości zgarnął z lady okazały stos monet i wsadził go do szkatuły, będącej jedynym magicznym przedmiotem w okolicy. Gdyby jakiś złodziej próbował ją ukraść, byłby to ostatni nieczyny występki w jego karierze, chyba że pod nową postacią rozsmakowałby się w innych formach przestępczości, zarezerwowanych dotąd wyłącznie dla myszy.

- Ach! - Rzucił krótkie spojrzenie garbiącemu się, żeby mieć pewność, że przekoloryzuje aby na pewno to, na co tamten patrzy. - To mieszanka specjalnie dobranych alchemicznych składników, po których trzoda nabiera krzepy, cudownym sposobem zwiększa masę, dając dwakroć tyle mięsa, ile dałaby bez czarodziejskiej ingerencji! Gdy zawitałem z tym towarem do Gettysheim, ludzie wyrwali sobie worki z rąk! Sprzedałem wszystko na pniu. Straż musiała pacyfikować oszalały z radości tłum! Chłop milczał dłuższą chwilę, mrugając głupio oczami, jakby miało mu to pomóc w przyswojeniu informacji.

- Co żeś tam napchoł? - powtórzył, tyle że głośniejsze.

Mistrz Haxerlin zmienił taktykę, dostosowując się do oczekiwań klienta.

- Paszę dla świń - stwierdził po prostu.

Chłop podrapał się po skołtunionych włosach.

- A byndom to kury żreć?

- Będą - odparł handlarz. Jak kury zgłodnieją, to zezrą wszystko.

- I byndom duże?

- Byndo... znaczy będą.

- Bo żeś tam magii napchoł? - zapytał z triumfalnym uśmiechem, tak jakby w końcu rozwiązał mroczną intrygę kupca.

- Eee... - stęknął Mistrz Haxerlin, zbity z tropu przebiegłością rolnika. - Tak. Wszystko, co oferuję, jest autentyczne, zwłaszcza ta pasza.

Tu akurat nie przesadzał. Nadprzyrodzoną właściwością mieszanki był fakt, że na targu kupował wór z paszą za dwadzieścia miedziaków i kiedy tylko kładł go na ladę Cudów i Dziwów, ten tajemniczym sposobem kosztował już dwa srebrniki.

- A to wyzme. Byde miał duże kury. - Klient wyszczerzył zepsute zęby i omiół wzrokiem zbiegowisko, szukając zazdrosnych spojrzeń. Niczego takiego nie dostrzegł; posiadanie dużych kur najwidoczniej nie znajdowało się na liście priorytetów mieszkańców Möhren. Postępując, pospiesznie oddalił się od kramu, jakby dźwigał w worku co najmniej sztabki złota.

Do straganu podeszła - choć bardziej na miejscu byłoby stwierdzenie, że podpłynęła - elegancka dama w różowej, bufiastej sukni. Falbaniasty okręt sunął majestatycznie przez morze prostaczków, nie przejmując się, że pasuje do tej zgrai jak kot do cylindra. Znaczy się, teoretycznie kot może mieć cylinder, jeśli się uprze. Tylko po co?

Dama była elegancka w tym rozumieniu, w którym za przejaw elegancji uważa się dekorowanie fryzury małymi, świecącymi ozdóbkami, pobrzękującymi dźwięcznie przy każdym kroku. Wysoko upięty kok mieścił w sobie taką ilość świecidełek, że odpowiednio skondensowana wiązka światła, odbijając się od nich, mogła oślepić lub wręcz wzniecić pożar.

- Madhemoiselle Emehencjanna - rzekła teatralnie i zadarła głowę. Kilku najbliższych stojących ludzi zasłoniło oczy. Dzień był wyjątkowo słoneczny.

- Miło mi panią poznać. - Mistrz Haxerlin prawie położył się na ladzie, by sięgnąć ustami wypielęgowanej dłoni, którą dama nadstawiła do ucałowania.

- Jah tyłho ushyszaham o pahńskieji wizhycie, niezwhocznie udaham się pod spehunę, htóhą zwą „Cztehema zhotymi pohojami”. Ciekawam, czy znajdę tu coś do mohjej hohekcji

- Czego konkretnie pani szuka? - spytał sprzedawca, chroniąc oczy przed blaskiem roztaczanym przez imponujący kok.

- Stwohów. Dehohuję sahon. Whie pan, whampihy, topiehce, strzyhgi. Mam jhuż smhocze shrzydła na ściahnie, dywhan ze shóhy ogha i hamphe z chzaszhi minhotauha.

Mistrz Haxerlin musiał dłuższą chwilę rozgryzać, czym jest „hampfa z chzaszhi minhotauha”.

Doszedł do wniosku, że nie chciałby, aby płonąca głowa minotaura oświetlała mu stronicę książki, kiedy relaksuje się po pracy. Szybko zabrał się do poszukiwań, zanim zdążył wyobrazić sobie salon mademoiselle.

- Mam coś, co może panią zainteresować! - Haxerlin położył na ladzie duży, szklany słój i ściągnął cienką płachtę, która skrywała zawartość. - Oto łeb najprawdziwszego centaury! - Pierwszy rząd gapiów cofnął się w przestachu. Zewsząd zaczęły dochodzić na przemian jęki grozy i fascynacji. W słoju pływała głowa mężczyzny. Mistrz Haxerlin przejechał go zupełnie przypadkowo, kiedy biedak leżał pijany na środku traktu. Kupiec znał się na marynowaniu ogórków, więc jedynym problemem było znalezienie odpowiednio dużego naczynia, by obrócić niefortunny wypadek na swoją korzyść.

- Całkiem podobny do Heinza - odezwał się ktoś przytomnie.

Tłum zaczął szemrać.

- Mówił, że do Weimburga idzie, szczęścia szukać.

- Gdzie tam! Pewno na koński sabat laźl.

- Pożyczył kiedyś srebrnika i nie oddał, centaur jeden!

- Po picciu zawsze rżał jak klacz. Złe z niego wyłaziło! In vino veritas!

- Znahomicie! - Ucieszyła się różowa dama i aż podskoczyła z radości. Oślepiiony tłum stracił zapał do roztrząsania sprawy centaury Heinza, który przez wiele lat ukrywał naturę potwora pod maską miejscowego pijaczyny.

- Będzie ideahnie homponował się z hominkiem. Phoszę go zapahować.

- Mistrzu Haxerlinie... - odezwał się nieśmiało ktoś z tylnych rzędów. Handlarz dobijał właśnie kolejnego targu, przekonując jegomościa z sumiastym wąsem, że Talizman Ochrony Przed Złem

śmierdzi dlatego, by zło trzymało się z daleka, a podobieństwo medalionu do truchła rozkładającego się szczura to tylko fanaberia artysty.

- Tak, chłopcze? - rzucił krótko, gdy klient odszedł wreszcie z talizmanem na szyi. Rozstępujący się przed nim tłum w stu procentach dowodził skuteczności artefaktu. Przy założeniu, że w każdym człowieku tkwił pierwiastek zła.

- Ja bym chciał... - Młodzieniec przestępował z nogi na nogę, niemal potykając się o przydługie nogawki. - Ja bym chciał miecz. Magiczny. - Spuścił nisko głowę, jakby zawstydzony własnym życzeniem. - Uzbierałem trochę pieniędzy.

- Ha, to się dobrze składa, paniczu. - Mistrz Haxerlin zatarł ręce, ciesząc się na myśl o opchnięciu rupiecia, który targał ze sobą już od wielu miesięcy.

Chłopak zadął głowę, podejrzewając, że „panicz” to jakaś wyjątkowo nieprzyzwoita obelga, ale koniec końców postanowił zignorować zaczepkę.

- Śpieszno ci do wojaczki, co? - Kupiec zaśmiał się uprzejmie i wdrapał na wóz, przetrząsając kufry w najdalszym kącie, gdzie umieścił przedmioty spisane na straty. Niedługo miał je porzucić w przydrożnym rowie.

Młodzieniaszek pokraśniał i potrząsnął bujną blond czupryną.

- Tak, Mistrzu! Ferwor walki, ryk wojennych trąb... - Wciągnął głęboko powietrze, jakby wdychał gęste opary bitwy. Niestety, wąsacz z Talizmanem Ochrony Przed Złem nie odszedł zbyt daleko i przyszłego herosa lekko zemdliło. - Dwaj odważni wojownicy, ścierający się w otwartym polu... - ciągnął rozmarzonym głosem, gdy na powrót złapał oddech. - Ich pancerze popękały pod wpływem mocarnych ciosów wroga; nagie torsy lśnią w palącym słońcu a krople potu spływają po naprężonych mięśniach. Dawno stępił ostrza broni, więc odrzucili bezużyteczną stal i walczą wręcz, patrząc sobie głęboko w oczy i koniuszkiem języka oblizując spierzchnięte wargi. Splatają palce niczym para kochanków, obejmują się w śmiertelnym uścisku. Spodnie krępują ruchy tancerzy zagłady, zatem czym prędzej pozbywają się resztek odzienia. Przesuwają dłońmi po atletycznym korpusie, szukając luki w obronie przeciwnika, by przygwoździć go do ziemi, by pokonać, by osiąść...

- Mam! - Mistrz Haxerlin, ściskając pod pachą kawał żelastwa, wygrzebał się z wozu, gdzie do jego uszu nie dotarła ta obrazowa przemowa. - Hej, synku, nie podwędziłeś mi aby jednego z Talizmanów Ochrony Przed Złem? - mruknął i zmarszczył brwi na widok wolnej przestrzeni, jaka utworzyła się wokół chłopaka. Przejmująca cisza i grymasy półotwartych ust zastygły na twarzach mieszkańców Möhren, wskazywały dobitnie, że byli świadkami wydarzenia, o jakim szybko chcieliby zapomnieć.

- Oto miecz D'rankhana Wielkiego! - Kupiec wyraźnie zaakcentował personalia wymyślnego naprędce bohatera, by uzmysłwić gawiedzi, że tego miana nie zapisuje się ot tak, tylko używa do tego jakiegoś wyjątkowego znaku interpunkcyjnego, co czyni herosa jeszcze bardziej niesamowitym. Oczy chłopaka zaświeciły jak złote korony, które dopiero co opuściły królewską mennicę. Z ust gapiów dobyło się wyraźnie słyszalne westchnienie podziwu, hołd złożony niezwykłym dokonaniom D'rankhana Wielkiego, które to dokonania każdy sobie indywidualnie obrazował w umyśle, w zależności od posiadanej wyobraźni.

Wzniesiony w górę oręż jeszcze kilka sekund temu był starym, pordzewiałym mieczem z ułamaną rękojeścią, ale stał się właśnie starym, pordzewiałym mieczem z ułamaną w pół rękojeścią, którego onegdaj dobywał D'rankhan Wielki.

- Mistrzu Haxerlinie, nie wiem, czy będzie mnie stać na tak potężną broń... - zachlipał blondynek, nie spuszczając z oczu cennego artefaktu.

- Paniczu, bądź dobrej myśli - rzekł kojąco handlarz, nachylając się nad straganem i zaglądając chłopakowi do sakwy, kiedy ten drżącymi palcami rozsypał wreszcie rzemyk.

- Będzie tu...

- W sam raz, w sam raz - przerwał niski człowieczek, nie czekając, aż młodzik skończy rachować monety. Zagarnął je razem z mieszkim. - Dałem ci mały upust, bo coś mi się widzi, że możesz być godnym następcą D'rankhana Wielkiego. Wspomnij no czasem starego Haxerlina, gdy wygrasz pojedynki z którymś z czempionów króla! - Twarz chłopaka rozjaśnił maślany uśmiech, a z jego piersi dobył się cichy pomruk zadowolenia. - Albo gdy zdobędziesz już serce księżniczki. - Kupiec

mrugnął porozumiewawczo, a pomrukiwanie ustało równie szybko, jak zniknął rozmarzony wyraz twarzy.

- Co tu jest wygrawerowane? - zainteresował się młody rycerz, dostrzegłszy na rękojeści pozostałości napisu.

- PiS - odczytał inskrypcję posiadacz imponującej baraniej czapki, który od pewnego czasu nachylał się nad ramieniem chłopaka i podziwiał fantazyjne kształty broni.

- Prawy i Sprawiedliwy - rozszyfrował w mig handlarz. - Kolejny przydomek naszego bohatera, jaki uzyskał podczas...

- A nie przypadkiem Pattersen i Synowie? - Ktoś z tłumu okazał się być nie lada światowcem, skoro kojarzył inicjały rodzinnego interesu kowali z północy. Szybko został jednak zakrzyczany przez ludzi, którzy dowodzili, że ich dziadkowie osobiście poznali D'rankhana i faktycznie kilka razy przedstawił się im mianem widniejącym na rękojeści. Posiadacz magicznego miecza dumnym krokiem opuścił zgromadzenie, nawet nie spytawszy o właściwości artefaktu i o to, czy niemożność normalnego trzymania oręża, za sprawą ułamanej klingi, wlicza się w ich poczet.

Mistrz Haxerlin sprzedał jeszcze różnobarwne skałki, stanowiące niezawodny środek odstraszający wilkołaki (dawno nie widziano bestii w tych okolicach, ale na wszelki wypadek poinstruował nabywców, jak odpowiednio rzucać w nie kamieniami), chustę, którą ocierała twarz Błogosławiona Kapłanka Shafre (i tak musiał kupić nową, tamta była cała przepocona), widoczek z przedstawiający krajobraz owianej złą sławą Krainy Cienia (nie chciał sprzedać, bo poczuł się trochę urażony, że jego ulubioną polankę wzięto za przedsiónek do świata zmarłych, ale kobieta była wyjątkowo uparta) i kilka mniej ważnych, ale nie mniej cennych drobiazgów.

Siedział teraz przy stoliku w „Czterech złotych pokojach”, tak bardzo usatysfakcjonowany przychodami, że nawet nie poczuł się oszukany nazwą przybytku.

- Karczmarzu! - zawołał, gdy dopił piwo. - Coś na ząb. Co polecacie?

- Boli was? - zainteresował się siwy mężczyzna za ladą. - W Möhren nie ma cyrulika, nie przetrzymał zeszłej zimy. Ale kowal jest. Czasami nawet trzeźwy. - Pokiwał głową, jakby chylił ją przed kowalską abstynencją.

- Głodnym, karczmarzu, głodnym. - Handlarz przeczuwał, że przenośnia dla właściciela przybytku mogła być jakimś dziwnym urządzeniem do wodowania statków. W tym momencie pytanie, skąd zaczerpnął pomysł na nazwę lokalu, urosło do rangi niezgłębionej tajemnicy.

- To od razu było mówić - burknął szynkarz. - Zara co podam.

Niski mężczyzna w purpurowych szatach odchylił się na krześle, poklepując z zadowoleniem po pękatym brzuchu. To jest życie! Ciekawe, jakby się ułożyło, gdyby zaraz na początku działalności nie przybrał pseudonimu, pod którym znają go teraz mieszkańcy wielu wsi i miasteczek, zachwalając Cuda i Dziwy Mistrza Haxerlina wszędzie tam, dokąd dotrą.

Mark Etting. Z czymś takim nie da się zrobić kariery.